ZIEMIE ZACHODNIE
Rzeczypospolitej

DODATEK MIESIĘCZNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

ROK III. KWIECIEŃ — MAJ 1944 R. Nr. 3 (11)

ZIEMIE POWRACAJĄCE INTEGRALNIE ZŁĄCZONE Z POLSKĄ

Naród polski zaabsorbowany w obecnej chwili problemem naszej granicy wschodniej, nie może ani na chwilę tracić z oczu całej doniosłości zagadnień związanych z naszą granicą zachodnią. Niezależnie bowiem od bieżącej fluktuacji polityczno-militarnej, linia którą sobie od początku tej wojny obrał Naród Polski, pozostaje niezmieniona. Na wschodzie walczymy o utrzymanie istniejącego stanu rzeczy, bronimy sprawiedliwości i ładu. Ale na Zachodzie walczymy o sens dziejowy naszego bytu, o wielkość i szczęście **przyszłych pokoleń**, o zadośćuczynienie za zbrodnie i krzywdy, wiekami całymi znoszone.

Ceną ofiar i cierpień Narodu Polskiego doznanych od Niemców na przestrzeni dziejowej za zbrodnie w tej wojnie będą Ziemie Powracające. Ich odzyskanie wywoła gruntowną przemianę w życiu Polski, w polityce a przede wszystkim w typie psychicznym i moralnym Polaka, który musi ulec większemu zdynamizowaniu, prężności i zdyscyplinowaniu.

Zastanówmy się nad znaczeniem geopolitycznym tych rewindykacyj.

Polska powstała w dorzeczu Odry i Wisły i ziemie objęte tymi rzekami stanowią trzon terytorialny Polski i jej ziemie macierzyste. Stanowią one naturalną jedność geograficzną, polityczną i gospodarczą, co narzuca wyraźny kierunek rozwiązań politycznych, jakie winny to terytorium objąć.

Jedność geograficzną dorzecza Odry i Wisły wykazują następujące warunki geograficzne:

1. Między Sudetami a ujściem Odry następuje największe zwężenie niziny środkowo-europejskiej, powstałe przez wcięcie się Bałtyku w głąb lądu i wysunięcie Sudetów ku północy.

2. Hydrograficznie ziemie nadodrzańskie wykazują ścisłe związanie z polskim terytorium geograficznym. Ziemie Wielkopolski, Śląska i Pomorza są odwadniane od Odry. Dzięki temu zresztą opanowanie przez Niemców Odry dało im możliwość ekspansji do tych krain. Dorzecze

Odry jest niesymetrycznie rozwinięte. Od ujścia Nissy Łużyckiej poczynając przyjmuje Odra tylko dopływy prawobrzeżne.

3. Ziemie nadodrzańskie mają ten sam typ krajobrazu, gleby i klimatu co reszta ziem Polski.

4. Na północy polskie terytorium geograficzne sięga po Morze Bałtyckie, Dorzecza Odry i Wisły będąc zapleczem dla nadbrzeża łączą się z nim w całość geograficzną.

Ziemie te tworzyły również historyczno-polityczną całość. W granicach państwa Mieszka znajduje się całe Pomorze między Odrą i Wisłą, na zachodzie są w polskim posiadaniu Śląsk i Ziemia Lubuska (dzisiejsza regencja frankfurcka), Bolesław Chrobry dąży do oparcia granicy zachodniej na Nissie Łużyckiej i do posiadania Łużyc jako przedpola. Walki Bolesława Krzywoustego o Pomorze zachodnie i jego zdobycie kończą kształtowanie się państwa polskiego w ramach ściślejszych polskich ziem etnicznych.

Z punktu widzenia strategiczno-politycznego ziemie te stwarzają wyraźną całość o doniosłej wartości obronnej w oparciu o naturalne właściwości terenu.

Z punktu widzenia ludnościowego pamiętać trzeba, że aż po Odrę sięga ludność pochodzenia polskiego lub przynajmniej słowiańskiego i ludność ta zgermanizowana dopiero na skutek wynaradawiającej polityki niemieckiej w ostatnich dwóch wiekach stanowi potencjalnie materiał zdolny do polonizacji.

Z punktu widzenia gospodarczego Odra stanowi naturalną arterię komunikacyjną dla Śląska i dorzecza Warty a zapleczem wszystkich portów bałtyckich na tym odcinku są ziemie polskie, dla Królewca np. nawet ziemie wschodnie. Wyludniające się wschodnie prowincje Niemiec stawały się ciężarem dla gospodarki niemieckiej, wymagając ze względów politycznych jedynie inwestycyj, finansowania i najrozmaitszych ulg.

Mówiąc o jedności tych ziem z Polską nie tylko myślimy jednak o jedności istniejącej, ale i o tej, która nastąpi. Ziemie Powracające muszą bowiem być w sposób najbardziej organiczny związane z organizmem politycznym, gospodarczym i ludnościowym Polski, muszą być składową częścią wszystkich dokonywujących się w Polsce przemian, których w dużej mierze będą zresztą przyczyną. Fakt przyłączenia ich do Polski będzie narzucać w szeregu dziedzin konieczności zmian i przeobrażeń. Nie wyobrażamy sobie możliwości innej formy władania tymi ziemiami jak jedynie i wyłącznie inkorporacja. Okres przejściowej odrębności winien trwać możliwie krótko, tak długo jedynie, jak długo tego będzie konieczność wymagała. Polityka polska na tych terenach musi jako swój cel widzieć właśnie ową inkorporację w organizm państwowy Polski.

— ooOOOoo —

KRÓLEWIEC — A POLSKIE ZIEMIE WSCHODNIE

Jeżeli w wyniku obecnej wojny rozstrzygnąć się ma m. in. również i los Bałtyku, jako jednego z ważniejszych problemów Europy środkowo-wschodniej — to nie może pozostać bez odpowiedzi pytanie, jaki będzie w tym rozstrzygnięciu udział Bałtyku wschodniego i jego portów. Bałtyk wschodni nie jest zupełnie obojętny Polsce Dotyka on również ważnych i życiowych dla Polski spraw, tak jak Bałtyk zachodni z Gdańskiem i Gdynią na czele.

Niewątpliwie problem Bałtyku wschodniego wykracza znacznie poza ramy tych spraw, jakie leżą w bezpośredniej styczności z Polską. Bałtyk wschodni wciąga w sferę swych wpływów także zagadnienie rosyjskie, skandynawskie i los państw bałtyckich i spraw, coprawda, nie zupełnie obojętnych Polsce, ale leżących już w znacznie szerszej płaszczyźnie politycznej; jednakże Bałtyk wschodni, stawia przed Polską pewien odcinek zagadnień, które organicznie związane z Polską muszą wreszcie znaleźć swoje logiczne rozwiązanie i ostateczne rozstrzygnięcie.

Dla Polski do naistotniejszych spraw związanych z Bałtykiem wschodnim należy Królewiec, jako największy port tej części Bałtyku i jego nowe oblicze polityczno-gospodarcze po tej wojnie w wyniku jej zwycięskiego końca.

Trudno bowiem byłoby pozostawić nadal Królewiec w jego dotychczasowej roli drobnego regionalnego i zamierającego portu, podczas gdy stoi przed nim poważne zadanie obsłużenia całego swego naturalnego zaplecza gospodarczego, jakim są polskie ziemie wschodnie, daremnie do dziś szukające sobie prostego, a nie okrężnego związania i połączenia z morzem.

Gdy pod tym kątem spojrzymy na całe to zagadnienie, jasne się stanie, jak silnie i organicznie mogłyby być związane interesy samego Królewca z interesami polskich ziem wschodnich i jak ponętna perspektywa rozwoju gospodarczego stanęłaby w tym wypadku przed obu tymi obszarami, do dziś wrogo od siebie oddzielonymi sztywną granicą polityczną.

Dotychczasowy rozwój Królewca, jako portu Bałtyku Wschodniego, potwierdza nam w zupełności słuszność takiego stawiania sprawy. Królewiec bowiem jako port morski zamierał. Przed rokiem 1914 znajdując się w obszarze Niemiec cesarskich, nigdy nie odgrywał wybitniejszej roli, a konkurując z Gdańskiem zawsze był portem drugorzędnym. Po pierwszej wojnie światowej, gdy Polska odzyskała swoje dziedzictwo nad Bałtykiem i wreszcie organicznie związała gospodarczo dorzecze Wisły z morzem, i gdy nad Bałtykiem ukazała się polska pracowitość i imponujący rozwój Gdyni — port Królewiecki zaczął zamierać.

Brak nam pod ręką danych statystycznych ścisłych, których liczby wykazałyby niezbicie jak szybko wybijała się Gdynia na czoło portów bałtyckich, aby już na kilka lat przed wojną obecną stać się największym portem całego Bałtyku, a jak stopniowo z roku na rok obumierał port Królewca, kurcząc swoje obroty gospodarcze i schodząc do rzędu portu bardzo regionalnego.

Nie pomagała energiczna polityka rządu niemieckiego sztucznego ożywiania życia gospodarczego całych Prus Wschodnich. Żadne ustawy, ulgi gospodarcze, zachęty i propaganda patriotyczno-polityczna nie mogły powstrzymać życiowego procesu upadku ekonomicznego i wyludniania Prus Wschodnich, a tym samym stałego dalszego upadku portu Królewieckiego.

Królewieckie Targi Wschodnie nigdy nie stały się istotnymi Targami północnego wschodu, jak to rozdymała propaganda hitlerowska.

Prusy Wschodnie były zbyt wąskim i zbyt nikłym terenem gospodarczym, z którego Królewiec mógłby czerpać odpowiednie zasoby dla swego rozwoju, jako czołowego portu Bałtyku Wschodniego. Tymczasem rzeczywistość woła o inne rozwiązanie całego tego problemu, niż to miało miejsce dotychczas.

Ostatnie dwudziestolecie wykazało niezbicie, że Królewiec posiada zbyt słabe zaplecze gospodarcze i konieczność rozszerzenia tego zaplecza w sposób organiczny, a nie sztuczny — jest aż nadto widoczna. Tym zaś obszarem, który w sposób naturalny i z cechami trwałości ciąży do Bałtyku Wschodniego, a tym samym przede wszystkim do portu w Królewcu — są polskie ziemie wschodnie. Mają one wszystkie podstawowe dane, ażeby związane w sposób ściślejszy z Królewcem, stać się jego żywicielem, zapewniając mu możność samodzielnej i wybitnie aktywnej egzystencji.

Polskie ziemie wschodnie to ziemie surowców wybitnie eksportowych. Drzewo, len, skóry, rolniczo-spożywcze bogactwo Wołynia i Podola, płody spożywczo-leśne, wreszcie przetwory wszystkich tych surowców już przed wojną w obrocie zagranicznym

sięgały poważnych liczb i obrotów. A eksport drzewa z polskich ziem wschodnich był zawsze w Polsce jedną z czołowych pozycji.

Wiadomo, że w pierwszych latach odzyskanej niepodległości, zanim jeszcze węgiel polski zdobył sobie od r. 1926 rynki zagraniczne i zanim się nie rozwinął w Polsce dostatecznie silny przemysł eksportowo-spożywczy, budżet państwa był przede wszystkim podtrzymywany eksportem surowca drzewnego z polskich ziem wschodnich, co pozwoliło przetrzymać pierwsze trudności finansowe odrodzonego państwa polskiego.

Wkład gospodarczy polskich ziem wschodnich był duży, a odpowiednio skierowany i związany z Królewcem mógłby być podstawą pod przyszłą nową i lepszą organizację gospodarczą tej części Europy środkowo-wschodniej.

Port Królewiecki korzystnie jest położony wobec polskich ziem wschodnich. Posiada przede wszystkim dobre połączenia transportowe. W tym zakresie potrzebne są inwestycje stosunkowo niewielkie.

Szlaki kolejowe łączą z tym portem wszystkie ważniejsze centra polskich województw wschodnich. Główny szlak przez Białystok — Brześć — Równe wiąże bogactwa Wołynia magistralą, która po dokończeniu koniecznych uzupełnień i napraw może stać się wprost idealną. Odnoga przez Kowel czy Łuck dociera najbliższą drogą do Małopolski Wschodniej i Podola. Linia Białystok — Baranowicze łączy z morzem Nowogródczyznę, a linia Wilno — przez Kowno — całą Wileńszczyznę. Jedyna konieczna inwestycja w tym zakresie łącząca Pińsk ze Słonimem zbliży także serce Polesia z morzem.

Wreszcie posiada Królewiec, a także Kłajpeda, dobre połączenia wodne z polskimi ziemiami wschodnimi poprzez dorzecze Niemna i jego kanałowe połączenia z systemem rzecznym całej Polski środkowo-wschodniej. Mamy więc w ręku wszystkie potrzebne ku temu dane i podstawy, ażeby z całego obszaru geograficznego ciążącego do Bałtyku Wschodniego poprzez Królewiec, uczynić wreszcie jeden zdrowy, z szansami doskonałego rozwoju, organizm gospodarczy. Bariery polityczne i celne, które rozczłonkowywały cały ten organiczny obszar na poszczególne zaściankowe regiony gospodarcze, muszą być wreszcie zlikwidowane. Sens gospodarczy winien kierować przyszłością Królewca, jak i naszych ziem wschodnich, pozbawionych dotychczas bezpośredniego działania „wiatru od morza".

Postulat silnego związania Królewca z całym wielkim obszarem polskich ziem wschodnich musi być jednym z podstawowych naszych dążeń polityczno-gospodarczych przy uporządkowaniu spraw bałtyckich po wojnie.

Przykład Gdyni daje nam pewność, że królewiecki obszar Bałtyku wschodniego będąc pod władaniem czy wpływem Polski, organicznie związany z polskim wschodem, będzie stał przed świetną przyszłością i to daje nam podstawę do zdecydowanego stawiania tych problemów w tej właśnie płaszczyźnie.

POMORZE BĘDZIE MIAŁO STOLICĘ

Naród polski wyrósł i organizował swe państwo na obszarze dorzeczy Odry, Wisły i Niemna, a więc trzech rzek wpadających do Bałtyku. Wrogie podboje w ciągu wieków sprawiły, że Polska straciła ujście Odry i Niemna na rzecz Niemiec. Ostało się jedynie ujście Wisły, lecz i to zabrały rozbiory. Dopiero po wojnie światowej Polska odzyskała w części stratę przez odbudowanie państwa, niestety — bez Gdańska.

Tę stratę odczuliśmy raczej prestiżowo, niż boleśnie, nie wykorzystując z biegiem lat nawet tych ułatwień i udogodnień, jakie nam z prawa w Wolnym Mieście przysługiwały. Według uprawnień międzynarodowych gospodarzem miasta miała być Polska, a nie Niemcy, lecz nie skorzystaliśmy z tego. Nie próbowaliśmy nawet choć częściowo skolonizować go swoim żywiołem. Dla miłej zgody woleliśmy zbudować sobie własny port kosztem ogromnych obciążeń budżetowych, port duży wprawdzie, nowoczesny, ale nie zastępujący, bo nie mogący zastąpić portu u ujścia Wisły. W radosnym uniesieniu z powodu odzyskania niepodległości, byliśmy zadowoleni, że Gdańsk nie należał w całości ani do nas, ani do Niemiec — należał do siebie. Nie staraliśmy się wówczas nawet zrewidować naszego stosunku do tego miasta i zapomnieliśmy sięgnąć do pouczających przykładów historii, że kto posiadł Gdańsk, brał równocześnie Pomorze. Myśmy zresztą Gdańskowi zawsze w przeszłości dawali wolną rękę, psuliśmy go wspaniałomyślną tolerancją, wielkodusznością i przywilejami. A on? Był zawsze wierny, za-

świadczał to niejednokrotnie z bronią w ręku i protestował przeciwko odrywaniu go od Polski, ale był i wolny, samodzielny, dopóki nim kto inny nie zawładnął. Elektor brandeburski próbował, a udało się Krzyżakom, później Fryderykowi II, wreszcie Hitler użył go jako przyczółka w niedawnym napadzie na Polskę.

Historia lubi się powtarzać, ale równocześnie uczyć. Uczyniła to w odniesieniu do Gdańska, tylko szkoda, że trzeba było aż takiego dopełnienia tragizmu, żebyśmy wreszcie zrozumieli prawdę, że Gdańsk musi być w Polsce cały, pełny — bez reszty. Że będzie, w to nikt z nas dzisiaj już nie wątpi, chodzi jedynie o wyciągnięcie wniosków i o gruntowną zmianę wzajemnego stosunku między Polską i Gdańskiem.

W ciągu długich wieków jak i ubiegłego dwudziestolecia Gdańsk był dla nas czymś oderwanym, dalekim i mimo sentymentu — obcym. Ubolewaliśmy nad jego swawolą, często krnąbrnością, nad zachłannością kupiecko-handlową, odczuwaliśmy brak jego całkowitej obecności w państwowym organiźmie gospodarczym, lecz uchodził naszej uwagi moment, że Gdańsk jest przede wszystkim naturalną stolicą Pomorza, które bez niej chorowało przez wieki, nie mogąc dać życiu państwowemu Polski pełnego wkładu ze swych wartości.

Przed epoką krzyżacką miasto było już silnie podminowane przez obcy element, kolonizacja i germanizacja dokonywana przez Hanzę utrwaliła w nim niemczyznę, ale Pomorze czuło się jeszcze wówczas w Gdańsku jak u siebie — w swojej stolicy. Dopiero zajęcie zamku i miasta przez Krzyżaków, oraz nieludzka rzeź z r. 1308 okaleczyły organizm Pomorza. Jedynie Kaszubi — najbliżsi i najsilniej związani z Gdańskiem tradycją dłużej widzą i czują tu „swoje miasto".

Z czasem Gdańsk i Pomorze stają się sobie wzajemnie coraz bardziej obce. Rozdział ten powiększają jeszcze czasy reformacji, kiedy następuje niejako usymbolizowanie tego rozdwojenia przez podzielenie Kościoła Mariackiego w Gdańsku na dwie połowy: katolicki i protestancki. Bo tam co katolickie to z przewagą krwi pomorsko-kaszubskiej. A jest jej dużo, gdyż oblicze miasta było kupieckie i kaszubskie. Gdańsk jest bowiem bez przerwy rezerwoarem, do którego wlewa się żywioł ludzki z przyległych powiatów kaszubskich i kociewskich. Niestety ulega tam przeważnie procesowi germanizacyjnemu i zatraca się dla polskości. W przyszłości pomorska nadwyżka populacyjna winna w Gdańsku znaleźć ujście w rozmiarach większych, ale w innym znaczeniu i celu...

Zastanawiając się nad skutkami, jakie wywarł rozbrat Gdańska z Pomorzem, trzeba stwierdzić, że nie wyszło to na korzyść ani jednej ani drugiej stronie. Przeciwnie, szczególnie, gdy chodzi o zagadnienie kulturalne. Twórczość artystyczna i literacka, za wyjątkiem epoki odrodzenia i baroku, tak na Pomorzu jak i w Gdańsku nie mogła się nigdy zdobyć w pełni na oryginalność i swoistość. Gdańskowi zamkniętemu w sobie wystarczały twory sztuki praktycznej, stosowanej, zadawalniającej gust i zainteresowania bogatego kupiectwa. Pomorzu zaś brakło ogniska, w którym talenty znalazłyby pożywkę, odpowiednią atmosferę i rozmach. To też przytłaczane w dodatku ciężarem wpływów obcych, oraz walką o byt i prawa, zdobywało się zaledwie na twórczość o przeciętnej wartości.

W przeszło stuletnim okresie niewoli szukano tu kolejno po miastach i miasteczkach gniazd, któreby sprzyjały rozwojowi talentów: Chełmno, Toruń, Pelplin. Nadaremnie, bo jedynym ogniskiem w którym pomorska twórczość kulturalna mogłaby wznieść się na wyżyny — to Gdańsk. Ten jednak był daleki, nieczuły i obcy.

Inaczej też wyglądałby wynik walki z pruską polityką germanizacyjną i eksterminacyjną, gdyby dyrektywy wychodziły z Gdańska, przynajmniej tak polskiego jak Toruń czy Chełmno. Niemczenie Gdańska odpadało, więc polityka pruska mogła teraz skierować cały swój wysiłek na zdobywanie Pomorza, które zresztą zawsze traktowano jako przepaść dzielącą Prusy Wschodnie od całości kraju. Tu też napór był najsilniejszy, podobnie jak na ważnym uprzemysłowionym Śląsku. Chodziło o to, aby ująć w kleszcze Poznań z ziem polskich najdalej wysunięty na zachód. Nic więc dziwnego, że na Pomorzu był upływ krwi polskiej najdotkliwszy. Podobnie zresztą dzieje się w dobie obecnej, z tą jedynie różnicą, że stosuje się metody radykalniejsze i bardziej barbarzyńskie.

Do Macierzy wróciło Pomorze wyczerpane długą, nierówną walką i znowu bez stolicy. Nie był nią organicznie Toruń. Życie samo odsłoniło tę prawdę w chwili, gdy o prawo do miana stolicy Pomorza zaczęła z Toruniem walczyć Bydgoszcz. Tę rywalizację byłby w stanie rozsądzić jedynie — Gdańsk.

Biorąc pod uwagę wkład Pomorza w życie państwa w tym okresie, trzeba stwierdzić, że był on niedostateczny. Przyczyna leżała w tym, że młodzież pomorska, pozbawiona

u siebie ośrodka w postaci wyższych uczelni, udawała się na studia do środowisk oddalonych, gdzie — szczególnie jednostki wartościowsze — aklimatyzowały się i na Pomorze nie wracały. Stąd ustalił się niesłuszny pogląd, że Pomorzu brak inteligencji. Jej stan liczebny pod koniec ostatniego dziesięciolecia przedwojennego był jednak już na tyle wystarczający, że powinien był we wszystkich dziedzinach życia odegrać rolę kierowniczą na Pomorzu. Że nie było tak, na to złożyło się wiele przyczyn niezawsze zależnych od Pomorzan. Najważniejszą jednak była nieruchliwość, brak dynamizmu i poczucie niższości odbierające pewność siebie, wiarę we własne siły i tym samym możność współzawodniczenia z innymi. Pewne zmiany na korzyść elementu pomorskiego dały się zauważyć w ostatnim roku przed wybuchem wojny, lecz w pełni uwidocznią się dopiero, gdy Gdańsk będzie całkowicie w Polsce, nie tylko jako pozycja gospodarcza i polityczna, ale również jako treść uczuciowa i organiczna dla całego Kraju, a przede wszystkim dla Pomorza.

Obecność Gdańska w Państwie Polskim tchnie w Pomorze nowe życie, skieruje w świeży nowy nurt, poprawi samopoczucie i doda rozmachu.

Gdańsk wróci z manowców na prostą drogę swego przeznaczenia, a Pomorze odzyskawszy stolicę naturalną, wyleczy się z kalectwa, nabierze żywotności, uaktywni się, dopuszczając do głosu drzemiące w nim wartości ku pożytkowi swojemu i Polski.

WYNISZCZENIE BIOLOGICZNE WIELKOPOLSKI

W polityce niemieckiej t. zw. okręg Warty zajmuje stanowisko do pewnego stopnia wyjątkowe. Jeśli bowiem celem jej w odniesieniu do żywiołu polskiego na Śląsku i na Pomorzu jest germanizacja, to w Wielkopolsce wraz z przyległymi do niej obszarami idzie wrogowi przede wszystkim o doszczętne wytępienie ludności polskiej. Tutaj germanizację zastępuje eksterminacja. W świetle tego momentu występuje najjaskrawiej cała różnica stylu okupacji pomiędzy Ziemiami Zachodnimi a t. zw. Generalnym Gubernatorstwem. Eksterminację biologiczną Polaków w Wielkopolsce podyktowała Niemcom konieczność. Zdawali oni sobie doskonale z tego sprawę, że Poznańskie z dawien dawna było najsilniejszym na Zachodzie bastionem polskości i najpotężniejszym ogniskiem pracy narodowej, że posiada ono najdłuższą tradycję państwową i że ma ono — w ich rozumieniu — najbardziej jednolitą i zdecydowaną strukturę narodowościową.

Kwestię polską postanowiono więc rozwiązać innymi metodami, a mianowicie drogą **bezpośredniej likwidacji żywiołu polskiego.**

Oczywiście, Niemcy zdają sobie sprawę z tego, że całkowite wyniszczenie polskości w t. zw. Okręgu Warty jest ideałem, którego dzisiaj nie uda się jeszcze zupełnie zrealizować, niemiecka machina wojenna bowiem nie pozwala na całkowite wyeliminowanie ludności polskiej jako materiału roboczego. Nie mniej jednak przywódcy niemieccy bynajmniej nie ukrywają tego, że po zwycięstwie niemieckim Polacy na tym obszarze ulegną stuprocentowej zagładzie.

Wypadkową właśnie tego ideału niemieckiej „Polenpolitik" na Ziemiach Zachodnich i konieczności wojennych jest od samego początku wojny systematycznie przeprowadzana, stopniowo dawkowana eksterminacja biologiczna ludności polskiej. Posługuje się ona środkami różnorakimi.

Należy do nich w pierwszym rzędzie terror prawny, czy — jakby można się wyrazić — „instytucjonizm" terroru, który znalazł najdrastyczniejszy wyraz z realizowaniu specjalnego ustawodawstwa karnego względem wszystkich Polaków na Ziemiach Zachodnich. Zgodnie z tym ustawodawstwem osławionym pod nazwą „Polenrecht" karze się Polaków śmiercią lub długoletnim pobytem w obozie koncentracyjnym za najbłahsze przewinienie np. spóźnienie się do pracy, uszkodzenie — choćby mimowolne — narzędzia pracy, szorstkie odezwanie się do Niemca itp.

Ważnym środkiem eksterminacyjnym jest **polityka aprowizacyjna.** Racje żywnościowe wyznaczone Polakom są tak znikome, że masy polskie skazane są na głodowanie, zwłaszcza że z uwagi na brak rynku wolnego przydziały kartkowe stanowią jedyne źródło ich egzystencji fizycznej.

Odbija się to katastrofalnie na **sytuacji** zdrowotnej ludności polskiej. Tym więcej, że na Ziemiach Zachodnich nie ma Polaka, któryby nie podlegał maksymalnej eksploatacji fizycznej. A **pozycja socjalna** Polaków to osobny rozdział wyniszczającej polityki niemieckiej, rozdział zatytułowany: „Pan i parobek", który pisany jest krwawym potem tysięcy polskich mężczyzn, kobiet i dzieci.

Możliwości leczenia się posiadają Polacy bardzo ograniczone nie tylko z powodu wielkiego braku lekarzy, ale także i dlatego, że lekarze niemieccy i szpitale odnoszą się do pacjentów polskich w sposób nie tylko urągający zasadom humanitaryzmu i szczytnego zawodu lekarskiego, ale najprostszym zasadom ludzkim. A jednocześnie apteki w pewnych godzinach mianowicie od 17 do 6 nie sprzedają lekarstw Polakom, jeśli je w ogóle sprzedają (tylko pastylkę aspiryny mogą Polacy otrzymać bez przepisu lekarza!). Nic przeto dziwnego, że wśród ludności polskiej szerzą się w sposób straszliwy rozmaite choroby i epidemie, jak grypa, jaglica, gruźlica, anemia złośliwa itp.

Nie koniec na tym. W biologiczną egzystencję Narodu Polskiego uderzono również przez wprowadzenie i stosowanie już od paru lat t. zw. **cenzusu wieku dla małżeństw polskich.** Polak, który nie ma ukończonych 28 lat życia, a Polka lat 25 nie mogą zawrzeć związku małżeńskiego. W Ciechanowskim w ogóle zakazano Polakom ślubów, a zawarte po IX.39 roku unieważniono. Najlepsze z punktu widzenia rozrodczości lata jednostki ludzkiej są dla Narodu Polskiego stracone.

Jakie zaś warunki stworzył okupant dla tych dzieci polskich, którym pozwolił przyjść na świat? Warunki, które nie pozwoliłyby na zdrowy i pełny rozwój fizyczny młodych istot, gdy one — takie jakie są obecnie — trwały przez dłuższy przeciąg czasu. Wystarczy zwrócić uwagę tylko na jedno: biedne **dziecko** polskie otrzymuje do dwóch lat życia **pół litra** mleka, obojętnie czy karmione jest ono piersią matki, czy sztucznie, do sześciu lat ćwierć litra mleka chudego, a starsze 1/8 litra. Sześć tygodni po porodzie matka musi zostawić dziecko w domu i iść do pracy. Nie trudno sobie wyobrazić jakie to za sobą pociąga skutki. Nawet polskie niemowlę poddane jest zabójczemu rytmowi niemieckiej machiny wojennej. Oto w krótkich słowach zarysowany obraz wyniszczenia biologicznego Polaków na Ziemi piastowskiej. Zmusza on do wyciągnięcia przez nas szeregu wniosków na przyszłość nie tylko wobec Niemców, ale także, pozytywnie, wobec samej ludności polskiej na Ziemiach Zachodnich. Ona najpierw wymagać **będzie powojennej akcji ratunkowej żywnościowej i sanitarnej.**

Wnioski inne dotyczyć będą w pierwszym rzędzie długofalowej polityki populacyjnej i na wielką skalę przeprowadzonej regeneracyjnej akcji biologicznej i duchowej.

Z genealogii teraźniejszości

ORZEŁ BIAŁY W POZNANIU

Poniżej wyjątek z książki F. Morawskiego „Z zachodnich kresów", Kraków 1906.

Przed teatrem Apola ruch niezwykły. Gęsto zbite tłumy publiczności tworzą po obu stronach wejścia szpaler, wśród którego połyskują hełmy żandarmów, pilnujących porządku.

To dzień wielki i uroczysty, jubileusz, jakiego tu jeszcze nie było, 13 listopad 1904 r. — to święto hakaty!

Drogą wolną wśród szpaleru zbliżają się goście. Oto pierwsi, miarowym krokiem, z rapierami w ręku, maszerują studenci wszechnic niemieckich w pełnym burszowskim rynsztunku, długich butach, łosiowych spodniach i barwnych czapeczkach na głowie. Obsadziwszy drzwi i schody przyjmują dalszych przybyszów. Idzie cała fala urzędników w mundurach, weterani związków wojskowych z medalami i krzyżami na piersiach, brzmią okrzyki powitania. All Heil i Heil Deutschland. Salutują rapiery i wyprężają się mundury, gdy wchodzą okryci gwiazdami orderowymi dygnitarze. Oto starosta krajowy Dziembowski, prezes ziemstwa kredytowego Staudy, nadburmistrz poznański Wilms. Za nimi jeneralicja: jenerał Paczyński z Tenczyna, potomek staropolskiej śląskiej rodziny, komendant Poznania jenerał Issendorff, pułkownicy oficerowie — bez końca. Dalej deputacje z wszystkich stron germańskiego imperium, znad Renu zielonego i znad granic Litwy. Jest i bojownik z kresów czeskich i wyspiarz z pomorskiej Rugii.

Lecz nagle gwarne rozmowy milkną, okrzyki powitalne cichną, stojący obok mnie uchylają czapek, szept biegnie dokoła — to on, to on!

Powolnym krokiem, opięty w stary płaszcz, idzie staruszek, siwy jak gołąb. Wysoki urzędnik podaje mu ramię z widocznym uszanowaniem. Jakiś chłopak przeciska się aż w pierwsze szeregi i woła na cały głos: niech żyje! I na to hasło podnosi się z tłumu okrzyk ogromny: niech żyje, niech żyje Henryk Kennemann!

Ojciec hakaty, patryarcha ruchu pangermańskiego na wschodzie, wszedł do sali. Uroczystość może się rozpocząć. Program jej

pod postacią książeczki, zdobny jest winietą, przedstawiającą zakutego w stal rycerza, który w jednym ręku trzyma nagi miecz, w drugim chorągiew niemiecką. W sali rozstawiono długie stoły, przy których zasiedli uczestnicy. Piwa jeszcze nie roznoszą, ale będzie piwo, po przemowie na cześć cesarza, którego popiersie, otoczone zielenią i sztandarami pruskimi, spogląda na wierną rzeszę, zgromadzoną u jego stóp. Przewodniczący otwiera zgromadzenie i z ukłonem zwróciwszy się w stronę Kennemanna, oświadcza, że usłyszą z ust „nestora naszego ruchu" szkic dziejów Towarzystwa kresów wschodnich. Starzec wstępuje na mównicę i zaczyna przemawiać. Zrazu głosem słabym, zmęczonym, ledwie dosłyszalnym. Widać, że dziewiąty krzyżyk ciąży na sędziwym Krzyżaku. Ale w miarę jak mówi, głos jego podnosi się, zgarbiona postać zda się rosnąć i prostować, oko nabiera blasku i ognia i niebawem mówca opanował całe zgromadzenie, przykuł je do siebie, a słuchacze z namaszczeniem i wytężoną uwagą chwytają każde jego słowo. Bo też może po raz ostatni przemawia do nich ojciec hakaty. Dzisiejsza przemowa, to jego testament polityczny, testament apostoła wojny i mistrza nienawiści.

Mówi o czasach dawnych, gdy jeszcze Polak przed prawem równy był Niemcowi, gdy sam rząd pruski z obcym słowiańskim ludem, tkwiącym dotąd w ciele germańskiej ojczyzny, traktował jak z równym. Opowiada swój ból, swoją tęsknotę za ruchem antypolskim, nie tym oficjalnym, sztucznym, na komendę urzędników, płatnych przez państwo, ale szczerym, serdecznym, wychodzącym z duszy i serca ludu niemieckiego, na wojnę świętą, narodową, rasową. Przypomina chwilę, gdy on i jego towarzysze opuszczeni byli przez wszystkich, gdy walczyć musieli z Polakami, a bronić się przed Niemcami. I słowa jego staną się ostre, pełne goryczy i mściwych wspomnień. Ręka wskazuje na zachód ku Berlinowi, ku popiersiu, które panuje nad zgromadzeniem. A wśród słuchaczy wznosi się groźny pomruk, marszczą czoła i słychać półgłosem ciskane groźby: nie wrócą te czasy, nie wrócą. Biada temu, ktoby chciał je wskrzesić

Ale dziś — mówi dalej, dzięki Bogu, nie ma o tym mowy. Nie tu na kresach, ale w samym Berlinie mamy naszą komendę jeneralną. Dziś tylko dwa stronnictwa istnieją w sprawie polsko-niemieckiej, Niemcy i Polacy. Dziś w tym kraju albo my, albo oni. My tu siedzimy prawem zdobyczy, my tu podbiliśmy tę ziemię, niegdyś polską. I podbój ten, uświęcony krwią jeszcze pół wieku temu, w czasie powstania. Więc świętokradcą jest ten, kto władzę naszą tu chce naruszyć. Że Polakom to się nie podoba, jest rzeczą jasną. Ale niech tęsknią. To im nie nadaje żadnego prawa. Prawo jest nasze, prawo podboju. A któż z nami dziś nie jest? Wszak sam cesarz obiecał, że postara się o to, by kraj ten stał się na wskroś pruskim i niemieckim. Więc, gdy tak obiecał, nie powie przecież później czego innego. To też władca Wielkopolski, potomek Hohenzollernów, Wielki książę poznański niech żyje!

Starzec skończył i schodzi z mównicy, a wrażenie wywołane jego słowami jest tak wielkie, że dopiero po chwili zrywa się burza oklasków. Bo też zaiste, ani postać mówcy, ani mowa jego nie była tuzinkowa. Ten biały krzyżak, to typ ciekawy i groźny, to jakby widmo jednego z tych rycerzy, którzy niegdyś z marienburskiej warowni ogniem i mieczem drogę sobie torowali na wschód. On nie jest marzycielem tylko, który żyje w krainie wyobraźni, bo za nim jest czyn dokonany. Ten bard nienawiści ma poza sobą pracę długą i mozolną, a przed sobą już owoce tej pracy. Iskra, przez niego rzucona, zamieniła się w pożar. I poszedł z nim duch narodu, poszedł nawet cesarz. A on żyje jeszcze i oczami swymi widzi spełnione to, co było marzeniem jego lat młodzieńczych. O jak dawniej, tak i teraz jest szczery, gardzi wszelkim faryzeizmem, nie prawi, na wzór tylu swych ziomków o dobrodziejstwach kultury niemieckiej. Nie, on przychodzi tu prawem miecza, prawem podboju i o innym wiedzieć nie chce. Od Polaków nie żąda on sympatii dla swego narodu, nie żąda w ogóle niczego. To wróg; niech się broni, jeżeli potrafi. Z Polaków mógłby się najlepiej porozumieć z ojcem hakaty powstaniec, dzierżący bagnet w ręku. Oni obaj stoją na tym samym gruncie: rozprawy siłą.

Mowa przebrzmiała, lecz echo jej ciągle gra po sali. Studenci dobywają z kieszeni białe karteczki z tekstem pieśni. Przewodniczący zapowiada, że na cześć pamiętnego dnia jubileuszu odśpiewany będzie hymn, odpowiedni do nastroju chwili. Ten hymn, to pieśń „o białym orle"!

Hymn zabrzmiał. Śpiewają wszyscy, młodzi i starzy, studenci i dygnitarze. Nawet otyły pastor, stojący koło estrady śpiewa, tak śpiewa, jakby całą duszę swoją miał wyśpiewać.

Orle biały, orle biały, choć pierś twa skrwawiona,
Przeciw nam krwiożercza teraz myśl zwrócona.
Ale próżno ku nam chytrze sięgasz pazurami,

Bo niemiecką my ojczyznę obronimy sami.
Śpiewających ogarnął zapał. Zwrotkę pieśni powtarzają z uniesieniem po raz drugi. Jakaś dama z galerii rzuca kwiaty na salę. Hymn z tysiąca piersi płynie dalej.

Orle biały, twojej doli smutnej nic nie zmieni,
Chociaż wściekłość w oczach twoich przeciw nam się pieni.
Za niemieckim kraczesz łupem wśród wichrów i burzy,
Ale dzielność nasza Niemcom dzień zwycięstwa wróży.

A potem dzieje się coś strasznego. Na sali odzywają się okrzyki: ,Bóg z nami, niebo po naszej stronie, musimy zwyciężyć!" Ojciec hakaty podniósł schyloną głowę i spogląda na ten zastęp nowych krzyżowców, gotujących się na „świętą" wojnę. Na balkonach kobiety powstały i powiewają chustkami. Będzie pieśń nowa, pieśń do Chrystusa, obrońcy wojowników niemieckich. Straszne jej słowa, okropne bluźnierstwo, które wzbija się ku niebu:

Chrystus idzie! dzwońcie dzwony!
Aniołami otoczony
Odkupiciel nasz.
Chryste myśmy mocni w wierze,
Niemiec posły i szermierze,
Ty nam kresy dasz!

Modlitwa do Zbawiciela staje się gorąca, natarczywa. Dalej zwrotki tak bluźniercze, że ich dosłownie nie tłumaczę: ,,Boże, całe Niemcy proszą Cię. Daj nam ten kraj. Tu już nasz sztandar zatknięty, stąd nie cofniemy się". A potem zwrot do Polaków: „Precz wrogu bezczelny, cofnij się i zniknij, ty zaś ludzie niemiecki bądź mocny i wytrwały, bo naszę zostać muszą kresy..."

Następuje pieśń po pieśni, mowa po mowie. Radca krajowy Göritz wzywa swoich ziomków, by pamiętali, jak piękna jest ta ziemia, o którą toczy się bój. Opisuje miłe krajobrazy, zachęcające do wesołego używania życia, piękne doliny, zielone łąki i złocące się od zboża pola urodzajne. Czyż Niemca może ten kraj nie nęcić?

Profesor uniwersytetu perlińskiego Dr. Heyck omawia hakatyzm z punktu widzenia etycznego. Etyką jest kolonizować, ale tak, żeby kraj skolonizowany dla Niemiec zatrzymać i zrobić go niemieckim. Tu, na tej ziemi, rozstrzyga się przyszły los Polski i Prus. Tu jedynie jest teren wątpliwy, więc tu walczyć najmocniej należy. Bez tego kraju ani Polska ani Prusy istnieć nie mogą. Ten bój nasz równie ważny, jak wojna z Austrią w r. 1866 i z Francją w r. 1870. A jednak nie zawsze to rozumiano. Tu mówca przypomina nieszczęsną epokę Capriviego i wyraża swoją radość, że ona minęła, a że zastąpiła ją wojna, bo wojna jest rzeczą jasną, prostą, otwartą. „Etyczne" wywody berlińskiego profesora brzmią tak, jakby wczoraj król polski z Warszawy wydał rozkaz mobilizacji. Oficerowie klaszczą w dłonie, studenci potrząsają rapierami. Sugestia całej uroczystości jest potężna.

Powstaje drugi założyciel hakaty, major Tiedemann. Ten chce znów zdobywać Poznań. Bo Poznań jeszcze polski, pomimo wszelkich wysiłków, Toteż zapewne nie dożyją uczestnicy zebrania zupełnego zniemczenia miasta. Ale przekażą oni swoją wiarę i dzielność dzieciom swym i wnukom i te dożyją owej chwili szczęśliwej.

Na stołach zastawiono kufle z piwem.

Po odczytaniu telegramów do cesarza i kanclerza, na które nazajutrz nadeszły zachęcające odpowiedzi, kończy się urzędowa część obchodu, a następuje t. zw. „wieczór piwny", Bierabend, urozmaicony piosnkami pijackimi. Jakiś przygodny poeta ułożył osobną kantatę przeciwko katolikom nadreńskim i zacnemu ich organowi Kölnische Volkszeitung. Najzajadlejsze wycieczki przeciwko tym Niemcom, którzy nie chcą należeć do hakaty. Nastrój wieczoru z tragicznej grozy obniża się do poziomu bractwa knajpowego. Galerie opróżniają się zwolna. Dygnitarze jeden po drugim opuszczają salę. Późno w nocy, ostatni biesiadnicy, zataczając się, dążą ulicą Rycerską ku domowi, ochrypłym głosem śpiewając jeszcze:

Chryste myśmy mocni w wierze,
Niemiec posły i szermierze,
Ty nam kresy dasz.

POD SKALPEL

Żałosne wyznanie.

W sprawozdaniu z odbytej w Poznaniu wielkiej manifestacji partii, umieszczonym w „Ostdeutscher Beobachter" (nr. 29) czytaliśmy:

,,Zmienił się obraz zewnętrzny naszych manifestacyj. Ten stary szczery entuzjazm, który cechuje każdą uroczystość jest obecnie mniej burzliwy, ale za to... rzetelniejszy. Młodych mężczyzn brak prawie całkiem, dużo szarych mundurów, dużo rannych, tu

i ówdzie kobiety w stroju żałobnym. Tu i ówdzie łzy przy wzmiance mówcy o ofiarach. Twarze są poważniejsze niż to miało miejsce dawniej, nawet w okresie walki o władze. Nauczyliśmy się, co znaczy ponosić ofiary".

Innymi sowy: dali nam porządną szkołę!

Z gliny powstałeś, w glinę się obrócisz

To samo pismo zamieściło dłuższy wywód na temat... gliny:

„Glina jest artykułem, który podtrzyma nasze dzieło rozbudowy na wschodnich terenach. W dziedzinie glinianego budownictwa w „Kraju Warty" rolę pierwszorzędną gra miasto Poznań. Dzięki inicjatywie władz powstała tam specjalna szkoła i poradnia gliniana (Lehmbauverwaltungsstelle). Powstała ona w tym miejscu, gdzie za polskich czasów stała kiepska, na poły rozwalona cegielnia; ta właśnie cegielnia to zaczątek nowej szkoły...

„Wkraczając na ten teren, ujrzymy zbudowane z gliny stodoły, obory, gospodarskie budynki. Możemy się naocznie przekonać, jak ogromne są możliwości w tej dziedzinie. To też nic dziwnego, że do szkoły poznańskiej przyjeżdżają całe rzesze żądnych glinianej wiedzy... Z gliny powstają domki, maleńkie chatki, w których zagnieździ się niemieckie plemię. Wszystko z gliny, Miły Boże! Czy naprawdę wszystko z gliny? Nie... ale prawie wszystko"..., bo cała wielka Rzesza Niemiecka.

A jednak w „Warthegau" śmiać się nie wolno.

W państwie narodowo-socjalistycznym wszelkie objawy humoru budzą conajmniej podejrzliwość i nieufność, natomiast u gorliwców „wschodnio-niemieckich" wywołują wręcz oburzenie. Wyrazem tego był artykuł w „Litzmannstädter Zeit" (nr. 30) zawierający taki wstęp:

„Pod tytułem „Wszak śmieją się także w „Kraju Warty" publikuje pewne berlińskie pismo dykteryjki, które wiązać się podobno miały z Krajem Warty. Mają one rozweselić przyjaciół owego pismo, którzy na krótko znaleźli w Kraju Warty drugi kąt rodzinny. Gdyby Łodzianie po przeczytaniu dykteryjki, której tło stanowi okolica Łodzi, mieli się śmiać, to chyba jedynie z tępoty autora, który spóźnił się o kilka lat".

Ubrał się diabeł w ornat.

Jak dalece Niemcy pozbawieni są zmysłu humoru i komizmu, tego dowodzi następujący passus z dłuższego artykułu „Ost. Beob." (nr. 40) na temat stosunków polsko-sowieckich:

„Klasycznym przykładem tego, że Stalin pozostawia wolną rękę nasadzonym w poszczególnych krajach komisarzom do zgłaszania nowych pretensyj terytorialnych, jest nominacja komisarza Ukrainy **największego polakożercy** Kornejczuka, który jako wicekomisarz Unii Sowieckiej zgłosił pretensje nie tylko do Ukrainy, ale do całej Polski, a który **z szyderstwem i pogardą zbył zarzuty emigrantów polskich...**"

Naiwny cudzoziemski czytelnik, który wierzy w prawa logiki, mógłby wnosić z tej notatki, że Niemcy nie są polakożercami; że do emigrantów polskich odnoszą się z szacunkiem i sympatią, bo inaczej dlaczegoby się tak oburzali na Kornejczuka? A jednak logika niemiecka jest inna.

Wczesny apel.

„Danziger Neueste Nachrichten" (nr. 37) zamieściły sprawozdanie z obrad Okręgowego Urzędu Szkoleniowego w Gdańsku, w których wziął również udział Rosenberg. Dr. Stellrecht przedstawił słuchaczom obraz dziejów niemieckich w świetle poglądu narodowo-socjalistycznego:

„Historyczne rozstrzygnięcia, jak rozbicie wielkiego państwa Gotów w r. 375, jak bitwa pod Grunwaldem w r. 1410, jak pokój w Monasterze i w Osnabrück w r. 1648 są nauczycielami teraźniejszości: Szkolenie polityczne ruchu nar.-socj. prowadzi się po to, by zapoznać Niemca z politycznymi dziejami jego narodu i dać mu przeżyć swą przeszłość tak, jak się żyć musi według idei nar.-socjalistycznej".

Mówca zakończył swe porywające wywody apelem, by uczynić wszystko, aby **naród niemiecki odnalazł znowu drogę do samego siebie** (dass das deutsche Volk wieder zu sich selbst zurückfinde).

Czy nie zapóźno?

Marzenie i rzeczywistość.

W okręgu Warty, na „germańskiej" glebie znalazło się już 140 tys. Niemców czarnomorskich. Patetycznymi słowy maluje ich pochód ku ojczyźnie „Deutsche Allgemeine Zeitung" (nr. 38).

„Co ci ludzie przeszli, jak przebyli swą drogę i czym była ich wędrówka — opisać niepodobna. Tygodniami wlekli się w mrozie i w śniegu, cierpieli głód i chłód, nim przebyli półtora tysiąca kilometrów..."

Zdawałoby się więc, że po tym wszystkim spotka ich w ojczyźnie zasłużona nagroda. Tymczasem co się okazuje?

„Przyszły ich los zapewni swym zwycięstwem armia niemiecka, dziś zaś zostaną zatrudnieni jako **rzemieślnicy i parobcy wiejscy**".

Mimowolne stwierdzenie.

„Zamordowani Volksdeutsche są sumieniem tego okręgu (Warty); na każdego, kto ma szczęście pracować tu twórczo, nakładają obowiązek uczynienia wszystkiego, byśmy tą ofiarą krwi ostali się tu... Książka ta wydana w szczęśliwy sposób zabiega o naszą prowincję, **wciąż jeszcze po macoszemu traktowaną w pozostałych częściach Rzeszy**".

To dość nieoczekiwane stwierdzenie obcości Ziem wcielonych do Rzeszy w świadomości niemieckiej przyniósł „Litzm. Ztg." (nr. 37) w recenzji z książki Herberta Millera Schwaneke'go p. t. „Kraj nad Wartą" („Land an der Warthe").

De te fabula narratur.

„Danziger Vorposten" (nr. 57) zaatakował dziennik szwedzki „Swenska Dagebladet" za artykuł omawiający plany powojenne sprzymierzonych w stosunku do Niemców. Najbardziej nie podobał się pismu projekt usunięcia ze szkół niemieckich wszystkich nauczycieli Niemców, członków partii, którzy wychowywali młodzież niemiecką w duchu hitlerowskim. „Danziger Vorposten" w świętym oburzeniu pisze:

„Jak prasa szwedzka może w ogóle powtarzać takie bzdurstwa żydowskie? Zamknięcie szkół niemieckich i usunięcie tysięcy wartościowych sił nauczycielskich byłoby przecież równoznaczne z wprowadzeniem analfabetyzmu w Niemczech. **Wprowadzenie zaś analfabetyzmu w XX wieku byłoby największą zbrodnią świata**. Ci, którzy wpadli na ten pomysł mają niedobrze w głowie (es spukt in ihrem Oberstübschen)".

A co powiedzieć o tych, którzy na Ziemiach Zachodnich względem ludności polskiej już od kilku lat pomysł ten w życie wprowadzili?

Wymowne zestawienia

Sąd specjalny w Łodzi skazał Polaka za kradzież **2 kart żywnościowych** na karę **śmierci**. Za kradzież 600 kart żywnościowych sąd specjalny w Gdańsku skazał urzędnika urzędu wyżywienia w Stolzenberg pod Gdańskiem 42-letniego Roberta Herolda z Gdańska — jak podaje „Thorner Freiheit" nr. 29 — **na 5 lat ciężkiego więzienia**. Robert Herold był od wielu lat członkiem zarządu jednego z kół NSDAP.

Sąd specjalny w Łodzi skazał na **śmierć** Polkę Antoninę Włodarczyk z Pabianic za kradzież 6 kart żynościowych. („Ltzm. Ztg" nr. 74 z 14.III).

Sąd grodzki w Królewskiej Hucie skazał Niemkę, Gertrudę M. z Królewskiej Huty na **18 miesięcy więzienia** za kradzież kilkunastu kart żywnościowych oraz kilku sukni i obuwia. Oskarżona popełniła tę kradzież — jak podaje „Oberschl. Ztg." nr. 60 z 1.III. — w kilka dni po wypuszczeniu jej z więzienia, w którym odsiądywała karę za kradzież.

Sąd specjalny w Poznaniu skazał na **śmierć** kolejarza Władysława Krzyżaniaka (Polaka) z Poznania. Krzyżaniak, zatrudniony w ekspedycji bagażowej na dworcu poznańskim skradł z uszkodzonej walizki obuwie i żywność („Ltzm. Ztg." nr. 74 z 14.III.).

Sąd specjalny w Katowicach skazał Niemca Wilhelma Handy'ego, listonosza z Szopienic za kradzież kilku paczek pocztowych na cztery lata więzienia („Oberschl. Ztg." nr. 88 z 29.III.).

Sąd grodzki w Królewcu skazał urzędniczkę pocztową Niemkę za okradanie przesyłek pocztowych na 5 lat więzienia („Dzg. Vorposten" nr. 78 z 19.III.).

Sąd specjalny w Łodzi skazał na **śmierć** Polaka Stefana Rosickiego, tkacza z Łodzi za kradzież wełny („Ltzm. Ztg." nr. 83 z 23.III.).

Sąd grodzki w Gdyni skazał na 6 miesięcy zaostrzonego obozu karnego Polaka, Alojzego Forczyka, byłego woźnego szkoły powszechnej w Chylonii za to, że w czasie przejmowania szkoły przez władze niemieckie usunął kilka książek polskich i przechowywał je w swoim mieszkaniu („Dzg. Vorposten" nr. 74 z 15.III.).

Sąd grodzki w Grudziądzu skazał 50-letniego Franciszka Łamkę (Polaka) z pow. tczewskiego na rok więzienia za uderzenie krowy. Lamka zatrudniony był w gospodarstwie Niemca z Bessarabii w powiecie tczewskim jako robotnik rolny. Sąd w uzasadnieniu wyroku zaznaczył, że oskarżony otrzymał tak niską karę (!) jedynie dlatego, że w czasie wojny światowej służył w niemieckiej armii, był trzykrotnie ranny, w tym raz w głowę, na skutek czego jest nerwowy i porywczy („Dzg. Vorp." nr. 55 z 6.III.).

Sąd grodzki w Grudziądzu skazał za opór władzy i pobicie urzędnika policji niemieckiej Niemkę Klarę Sieger na 2 miesiące więzienia („Dzg. Vorposten" nr. 55 z 6.III.).

Z PIERWSZEJ LINII FRONTU

Terra incognita

Duży procent społeczeństwa Polski centralnej, nie wyłączając nawet wielu publicystów podziemnych zupełnie nie orientuje się w sytuacji, jaka panuje na ZZ. Ich wiadomości kończą się na informacji, że na Śląsku 97% Polaków podpisało Niemiecką Listę Narodową. Wiadomość, że w rocznicę objęcia władzy hitlerowcy nadali na Śląsku ok. 500 rodzinom wpisanym na NLN pełne obywatelstwo Rzeszy utwierdza tylko ich w przekonaniu o zniemczeniu Śląska.

Jakże odległa od tej opinii jest rzeczywistość śląska. Upełnoobywatelnienie 500 rodzin mogliby przeprowadzić Niemcy w każdej dzielnicy Kraju, rzeczywistych bowiem Volksdeutsche'ów w takiej liczbie nigdzie nie brak. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że na zwartą masę przeszło miliona wpisanych na Śląsku Polaków na NLN tylko 500 zasłużyło sobie na upełnoobywatelnienie, to ten fakt dowodzi, jak nieprawdziwe jest „zniemczenie" Śląska i jak silna jest — mimo formalnego zniemczenia — polskość na Śląsku. Charakterystyczne jest, że we wszystkich notatkach prasowych, jakie w związku z uroczystością „Eibürgerowania" ogłoszono — przebijał ton groźby dla „zniemczonych", którzy nie wykazują żadnych skłonności do przejęcia zasad narodowego socjalizmu i patriotyzmu niemieckiego.

NLN straciła znaczenie orientacyjne nawet dla samych Niemców. Wprowadziła ona w stosunki narodowościowe zamięszanie, w którym Niemcy przestali się już orientować. Ostatnio władze niemieckie zwróciły się do Kurii biskupiej na Śląsku z propozycją zainaugurowania nabożeństw polskich, które w 1939 r. zostały całkowicie zniesione. Otwarcie nabożeństw polskich miało unaocznić Niemcom zasięg wpływów polskich. Kuria żądaniu temu odmówiła. Poniekąd szkoda, okazałoby się bowiem niewątpliwie, że podczas nabożeństw niemieckich kościoły świeciłyby pustkami.

Opinii o zniemczeniu Śląska przeczą ciągłe, niekończące się aresztowania polityczne i przepełnione więzienia, z których więzienie mysłowickie stanowi najokrutniejszą w tej chwili katorgę na wszystkich ziemiach polskich, przeczą egzekucje publiczne, przeprowadzane w coraz silniejszym stopniu na terenie całego Śląska i Zagłębia, przeczy nastrój, jaki panuje wśród pobranych do wojska Polaków, którzy stale podkreślają w wojsku swe polskie pochodzenie i przymusowy charakter ich służby w wojsku niemieckim, przeczy wreszcie nieustająca walka okupanta z polską mową, która niepodzielnie panuje na całym „zniemczonym" Śląsku. Ostatnio oddziały partyjne wyłoniły bojówki, które napadały i biły przechodniów mówiących po polsku. W odpowiedzi poczęły w sposób identyczny działać bojówki polskie, które biją mówiących po niemiecku.

Walka czynna

Najsilniejszy jednak dowód wierności Śląska stanowi uaktywnienie postawy społeczeństwa śląskiego, objawiające się zarówno w silnej akcji sabotażowej jak i w bezpośredniej walce patryzanckiej. Sabotaż obejmuje wszystkie odcinki życia, najsilniej jednak uderza w komunikację kolejową. Nie ma po prostu tygodnia, aby zniszczeniu nie uległo kilka pociągów z transportami wojskowymi. Śmiałość sabotażystów posuwa się tak daleko, że dzień po dniu rozkręcali szyny w tym samym miejscu.

Akcja partyzancka, koncentrująca się głównie w podgórzu beskidzkim przenika na teren całego Śląska i Zagłębia. Partyzanci rekrutują się zarówno z Polaków opornych, dla których walka bezpośrednia stanowi ratunek przed bezpośrednim prześladowaniem lub groźbą załamania się psychicznego, jak i spośród „zniemczonych", którzy w taki desperacki sposób bronią się przed poborem wojskowym. Idea walki czynnej — wymaga to specjalnego podkreślenia — przenika całe społeczeństwo, które udziela partyzantom dużej pomocy. Gestapo stosuje systematycznie prowokacje, podsyłając konfidentów, którzy podają się za partyzantów. Aresztowania i masowe egzekucje publiczne tych, którzy padają ofiarą konfidentów i prowokatorów — nie osłabiają bynajmniej pomocy, jakiej prawdziwi partyzanci doznają od ludności.

Śląsk posiada dziś bodaj najsilniejszy ruch partyzancki na ZZ. Ziemie Zachodnie z całym impetem walki narodowej wchodzą w centrum życia ogólnopaństwowego.

Gęsie pióra

„Ciocia przysłała mi (z Gen. Gub.) wspaniałą paczkę świąteczną: pół kg. masła, tyleż boczku wędzonego, sześć jaj, pół kg. cukru, babkę, kawał piernika i chleb. Zaraz wszystkiego po trochu zjadłam, ale widocznie nasze żołądki odzwyczaiły się już od ta-

kiego jedzenia, bo jeszcze dziś choruję. W pierwsze święto był u mnie Kazik. Poczęstowałam go wszystkim co miałam, ale jadł jak dziecko, a pamiętasz ile potrafił on zjeść przed wojną. Tak, tak, od wszystkiego można się odzwyczaić, nawet od jedzenia".

Do tych słów z listu z Poznania dodajmy jeszcze wyrok sądu grodzkiego w Turku, który Polkę Wiktorię Nowak z Dobra pow. Turek skazał na grzywnę 600 RM za sprzedanie Polakowi kiszonego ogórka — a nie trzeba już wyliczać litanii wyroków śmierci za nielegalny handel żywnością, aby zobrazować stan wygłodzenia Polaków w „Kraju Warty".

Brak tu zresztą wszystkiego. Brak żywności, materiałów tekstylnych, skórzanych, szklanych... łatwiej powiedzieć, że jest tylko to, co wydaje się na kartki. Charakterystyczna jest notatka o pewnej szkole pod Pabianicami, w której — jak doniosła Litzm. Zeitung w nr. 83 z 23.III. br. — dzieci używają do pisania piór wyłącznie gęsich. „Pismo wygląda całkiem dobrze, a co najważniejsze — oszczędzamy na metalu". Notatka kończy się apelem, aby wszystkie szkoły poszły za przykładem dzieci spod Pabianic.

Szczęśliwe jednak te dzieci, które w ogóle chodzą do szkoły. „W naszym okręgu — pisze Polak z Ostrowa Wlkp. — nie ma ani jednej czynnej szkoły, choćby nawet z niemieckim językiem wykładowym, Za elementarze płacą tu ludzie po sto i więcej marek. Zeszyty sprzedaje się tylko dzieciom niemieckim i to wyłącznie za specjalnym poświadczeniem nauczycielki. Analfabetyzm robi zastraszające postępy. Niedawno zgłosił się w Ostrowie Wlkp. do nauki w rzemiośle 14-letni chłopak ze wsi, który nie znał się na zegarku.

Naukę domową wręcz uniemożliwiają zabójcze warunki pracy Polaków. „Wypominasz mi moje aspiracje? — pisze z Poznania Polak z wyższym wykształceniem. — Moim największym marzeniem jest raz się dobrze najeść i wyspać. Pracuję w Krzesinach (kilka stacyj od Poznania) i muszę wstawać do pracy o 5 rano a wracam do domu o 9 wieczorem. Jestem taki zmęczony, że nieraz myślę o tym, żeby szybciej ze sobą skończyć..."

„Wiele razy żałuję, moje dziecko, że nie skorzystałam z waszych zaproszeń, kiedy był jeszcze czas. Ciągle miałam nadzieję, że uda mi się to wszystko przetrwać na miejscu, wydaje mi się jednak teraz, że już się nigdy z wami nie zobaczę. Niedługo skończę 57 lat a mój szef ma lat 26. Przed wojną był on szoferem, teraz jest kierownikiem trzech biur. Jest on taki ordynarny i chamski, że trudno przy nim zachować spokój przez 5 minut. Codziennie wysyła mnie po piwo. Wczoraj zrobił straszną awanturę o to, że szyby są brudne. Musiałam wyczyścić szyby w całym biurze..." Autorką tego listu jest Polka z wyższym wykształceniem, tłumaczka, władająca sześcioma językami.

Ludność polska wegetuje w najcięższych warunkach. Pogarsza je systematycznie stały napływ Niemców. Do miliona zamieszkałych już w Kraju Warty dochodzi obecnie znowu 160.000 Niemców ewakuowanych znad Morza Czarnego. Napływ ich powoduje m. in. dalsze pogorszenie warunków mieszkaniowych.

„Wreszcie wiosna — pisze Polka z Poznania. — Mogłabym wprawdzie spać w kuchni, ale ci Niemcy włóczą się przez całą noc po mieszkaniu i stale wchodzą po coś do kuchni, tak że z dwojga złego wolę już marznąć". Polka ta, właścicielka większego mieszkania zarekwirowanego przez wojsko, od przeszło czterech lat sypia w wycementowanej pralni na strychu.

Największa nienawiść okupanta zwraca się w „Kraju Warty", podobnie jak na innych Ziemiach Zachodnich przede wszystkim przeciw inteligencji, z której pozostały tu już tylko reszki. Partia systematycznie uzupełnia spisy „niebezpiecznych" Polaków, do których zaliczają się wszyscy inteligenci. W posiadaniu naszym znajduje się pismo Gestapo do wojewódzkiego urzędu leśnego, domagające się wytropienia wszystkich inteligentów, którzy zakonspirowali się jako robotnicy.

Nie mniej jednak niezależnie od wykształcenia i zawodu wszyscy Polacy znajdują się tu w równej sytuacji. Zwraca uwagę wielkie zdemokratyzowanie społeczeństwa polskiego i wspaniała jego solidarność. „Wszyscy tu żyją jednakowo — piszą z Poznania — obok robociarza pracuje były inżynier. Nie ma na tym tle różnic klasowych. Inteligenci nie uważają siebie za pokrzywdzonych książąt, robotnicy często chełpią się tym, że mają wysokiego ongiś urzędnika za współtowarzysza niedoli. Bieda zrównała nas wszystkich i wszystkich nas łączy wspólny los i wspólny cel..."

Kiedy posypało się szkło...

Postawa społeczeństwa, które żyje w takich warunkach naprawdę podnosi na duchu. „Kiedy zaczęło się sypać szkło — opowiada Poznaniak swe wrażenia z nalotu świą-

tecznego — zrozumieliśmy, że to nie jest jeszcze jeden próżny alarm, do których tu tak już przywykliśmy. Ludzi opętał jakgdyby szał. Jakąś kobietę na Pocztowej musiałem siłą wciągnąć do bramy, bo koniecznie chciała zobaczyć samoloty. Kiedy się okazało, że bezpośrednio nad kominami latają samoloty amerykańskie, wybuchła taka radość, jakby nie bomby a Kleiderkarty padały na miasto. Nikt jakoś nie myślał, że sam może zginąć. Wszyscy strasznie się cieszyli z tych wielkanocnych jajek. Po południu na ulicach widziałem tysiące Niemców, którzy z walizeczkami kręcili się w kółko, przerażeni do ostatnich granic i opętani strachem błądzili po większych i mniejszych ulicach, jakgdyby tu spodziewali się znaleźć ratunek przed niespodziewaną groźbą z powietrza. Starałem się zwiedzić miejsca zbombardowane. Na ogół celność bomb była bardzo wielka, jedynie na Pl. Sapieżyńskim bomby chybiły celu, a w polskiej dzielnicy na Górnej Wildzie ofiarą ich padło niestety kilka budynków mieszkalnych, m. in. przy ul. Pamiątkowej. Ofiary polskie były tam duże. Zatrzymałem jakąś kobiecinkę, która trzymając dziecko za rękę bezradnie kręciła się w miejscu. Niewielki tobołek stanowił to wszystko, co jej z pożaru ocalało. Płacząc i śmiejąc się naprzemian kobiecinka to biadała nad utratą całego mienia, to cieszyła się z nalotu. „Już nie będą tu więcej robili swoich ojroplanów. A to im dali! Te zbóje czuli się tu już za dobrze, teraz przestaną odgrywać panów. A chociem wszystko straciła, toć może choć bez to ta Polska prędko wybuchnie z powrotem... „Tak proszę Pana, miałem poważne wątpliwości, co w tej kobiecie przeważało, zmartwienie z nieszczęścia, czy radość z klęski niemieckiej. Czy to społeczeństwo złamie najcięższy nalot, jeśli nie złamała go taka okupacja"?

Co słychać na Pomorzu?

W czasie świąt znajomy przedstawił nam dwudziestokilkoletniego Polaka z Pomorza, który zagrożony poborem do wojska przedarł się przez zieloną granicę do GG. Przeżycia okupacji pozostawiły na nim ślad. Jest mocno wymizerowany, nerwowy i nieco zastrachany, jak wszyscy, którym udaje się zwiać z tego piekła, jakie Niemcy stworzyli Polakom na przyłączonych do Rzeszy Ziemiach Zachodnich. I gdy zadajemy mu stereotypowe pytanie „co słychać na Pomorzu?" — chłopak patrzy na nas niepewnie.

— Można, można śmiało — zachęca znajomy.

Słowa te podziałały jak zaklęcie. Zbieg się ożywił.

— Ciężko, bardzo ciężko jest żyć Polakowi na Pomorzu, gdzie z jednej strony bije go system jednolitego, nieustannego, nieustępliwego prześladowania, pełnego zimnej nienawiści na jaką zdobyć mogą się tylko Niemcy, zaprawiani i trenowani w tym specjalnie kierunku — a z drugiej strony wywierają nań presję władze, pracodawcy oraz wszystkie miejscowe bogi partyjne i niepartyjne.

— No, więc staliśmy się Volksdeutsche'ami — konkluduje ironicznie jeden z kolegów.

— Niech panowie nie żartują. Wpisy na NLN oraz germanizowanie dzieci i młodzieży polskiej, to największa tragedia ludności Polskiej Pomorza.

Przez cały czas wojny wre na Pomorzu najstraszliwsza, najzajadlejsza walka o polskość tej ziemi. Na szańcu stanęli ludzie, którzy — jak wykazują przepełnione obozy, więzienia, wysiedlenia i bunkry w Borach Tucholskich — gotowi są oddać wszystko: majątek, zdrowie, życie swoje i swoich bliskich. Stanęli ludzie, dla których Polska nie świadczyła nigdy nic materialnie, a którzy Polsce oddają wszystko.

I nieprawdą jest, że Pomorzanie germanizują się, że zdradzili Polskę. Ludność pomorska nie załamała się. Polskości nie usunie u nas najstraszliwszy nawet terror. Nie zaprzeczam — są wypadki załamania, dezercji, ale te zachodzą przecież wszędzie i nie można ich uogólniać.

Wielką krzywdę wyrządzają Pomorzanom ci, którzy zbyt pochopnie oceniają obecną sytuację na odcinku narodowościowym Pomorza. Ciekawi jesteśmy, jakby się zachowała ludność Gen. Gub. gdyby się znalazła w podobnej sytuacji?

W miarę opowiadania na twarzy naszego rozmówcy odbija się cała gama uczuć, od skoncentrowanej uwagi poprzez silne wzruszenie do uczucia ulgi, jaką niewątpliwie sprawia mu możność przemawiania w imieniu jego „bliższej ojczyzny".

— Ludność Pomorza broni się przed germanizacją jak tylko może. Przeważająca większość wpisanych na NLN zachowuje się jak najpoprawniej, nie utrzymuje żadnych stosunków towarzyskich z Niemcami, chroni się jak może od wypełniania nałożonych na nią obowiązków, pomaga materialnie innym Polakom. Ci zaś, którym nie udaje się zbiec przed wojskiem, na każdym kroku manifestują publicznie swoją polskość, zarówno w formacji jak na urlopie i czekają tylko na sposobną chwilę by dostać się „na drugą stronę". Władze niemieckie stosują ostatnio ostre represje w stosunku do ro-

dzin dezerterów, nawet rodziny wpisane na NLN wysyłają za to do obozów.

— A jak tam jest właściwie w Borach?

— Życie partyzantów w Borach Tucholskich również coraz cięższe. Ostatnio aresztowano i osadzono w obozach koncentracyjnych wszystkich leśników-Polaków, a na ich miejsce osadzono Niemców, przydzielając im tresowane psy do pomocy. Od dłuższego już czasu trwają wielkie obławy w lasach z udziałem setek żandarmów i tresowanych psów. Kilka oddziałów partyzanckich już zlikwidowano. Sytuacja ich jest w tej chwili bardzo groźna.

Ale chciałbym jeszcze wrócić do sprawy NLN. Czy panowie potrafią zrozumieć, co znaczy groźba wyrzucenia z mieszkania w razie odmowy podpisania Listy, gdy się nie ma nadziei nie tylko na uzyskanie mieszkania, ale nawet kąta w cudzym mieszkaniu? Czy panowie zdecydowilbyście się na mieszkanie pod gołym niebem?

Z każdym dniem pogarszają się również kłopoty aprowizacyjne. Takiego święconego jak to oto — u nas ludzie nawet już wyobrazić sobie nie umieją. Proszę pomyśleć: Polak na Pomorzu pracować musi 150 godzin na kilo masła, 20 godzin na dwukilowy chleb, 25 godzin na kilo mąki Dotyczy to najwięcej zarabiających. Równie ciężko jest z opałem, a najgorzej jest z uzupełnianiem odzieży, która dla Polaków jest już zupełnie niedostępna.

— Jeżeli jednak 200.000 Polaków w ogóle nie podpisało NLN a 400.000 w różny sposób wycofało swój podpis, to czym Pan wytłumaczy tych 600.000, którzy przyjęli niemieckie dowody?

— Nikt nie jest poszę Pana jasnowidzem. Przebieg okupacji najzupełniej uzasadniał obawy przed konsekwencjami, jakimi Niemcy zagrozili tym, którzy nie podpiszą NLN. Gdy się jednak okazało, że ze względów gospodarczych Niemcy nie mogą w czasie trwania wojny zlikwidować tylu tysięcy ludzi, wtedy właśnie tak duży procent „Antragowców" nie przyjął niemieckich dowodów. Bez konsekwencyj jednak się nie obyło. W ostatnich dniach przed moją ucieczką wysiedlono znowu i osadzono w obozie w Potulicach ok. 1.200 rodzin „opornych" Polaków.

— Mimo wszystko przecież...

— Pan mnie bada jak inkwizytor — zaperzył się Pomorzanin — Czy ktokolwiek robi kwestię z tego, że na Ziemiach Wschodnich w „plebiscycie" ludność opowiedziała się za Sowietami? W obydwóch wypadkach działał przymus. Proszę stosować równą miarę. Proszę najpierw poznać warunki w jakich żyjemy. Czy Pan rozumie, ile hartu wykazać musi nasze społeczeństwo, by — odcięte od Kraju — wytrzymało niesłychanie potężny atak niemieckiej propagandy? A przecież u nas nikt nie traci nadziei w zwycięstwo, wiadomości radia londyńskiego i dyrektywy władz krajowych przyjmują wszyscy jak słowa ewangelii. Propaganda komunistyczna nie odnosi u nas żadnych sukcesów. U nas nie tylko nikt nie czeka na „ratunek" sowiecki, ale wszyscy gotują się do rozprawy z wszystkimi wrogami. U nas wszyscy są zgodni w tym, że nie będzie można spocząć tak długo, jak długo granica Polski nie oprze się na Odrze. Zdumiałaby Pana nasza solidarność Czy Pan wie, że z kilku tysięcy aresztowanych ostatnio za robotę podziemną 98% rekrutowało się ze „zniemczonych"? I tu chce Pan mówić o zdradzie? Działa mnóstwo organizacyj podziemnych i stronnictwa politycznie, ale walki partyjne ustały zupełnie. Wszyscy myślą tylko o interesie narodowym.

Biorą nas do wojska, od 17- do 60-letnich, ale z drugiej strony boją się nas panicznie. Uzbrajają swe kobiety i dzieci, nawet poniżej 14 lat, tak się boją polskiego „Aufstandu". Strach przed powstaniem polskim nie daje im chwili spokoju. Wysyłają swe rzeczy do Rzeszy i wszyscy marzą, żeby jak najszybciej z Pomorza wyjechać. To chyba ma swoją wymowę!

— Przepraszam Pana, nie zamierzałem być sędzią.

— I ja przepraszam Panów za to, że się uniosłem. Dziwnie jest Polakowi, będącemu przez przeszło cztery lata pod stałym ciśnieniem niesłychanie ciężkiej atmosfery niemieckiej, działającej na każdym miejscu — znaleźć się nagle na terenie, gdzie wszędzie, na ulicy, na dworcu, w pociągu, w tramwaju, w urzędzie rozlega się polska mowa. Gdzie urzęduje policjant, sołtys, wójt, sędzia mówiący po polsku, gdzie nie potrze ba się kłaniać każdemu szwabowi, czytać można polskie książki, spacerować po parkach i najeść się do syta. Nie jestem bigotą, ale proszę Panów, wysłuchanie mszy z polskim śpiewem i kazaniem naprawdę wzruszyło mnie do głębi...

Gospodyni poprosiła do stołu.

— oOo —

W TURCJI O OKUPOWANYM POZNANIU

W dzienniku tureckim „La Turquie" (6.12.43.) ukazał się obszerny artykuł omawiający dwa dokumenty, dotyczące okupacji niemieckiej na Ziemiach Zachodnich, opublikowane przez nasze czynniki oficjalne.

Dokument pierwszy stanowi osławione pismo preesa sądu apelacyjnego w Poznaniu Frobösa, datowane 16.II.1941, a skierowane do Greisera, które pozwala Niemcom masakrować Polaków, znajdujących się w ich bezpośrednim otoczeniu, gdyż jest to zwykłe prawo i obowiązek obywatelski każdego Niemca.

Dokument drugi to okólnik nakazujący płacić pełny czynsz mieszkaniowy nawet w wypadku, gdy całe mieszkanie zostało zajęte przez Niemców, a Polacy stłoczeni w jednym pokoju, ponieważ jest to rekompensata za to, że Niemcy muszą znosić tyle niewygód w mieszkaniu, w którym stłoczonych jest w małych pomieszczeniach kilka rodzin polskich!

A oto komentarz pisma tureckiego:

„Gdy człowiek czyta te dokumenty, jest gotów przypuszczać, że wrócił do najbardziej ponurych dni historii ludzkiej.

Toteż, gdy się mówi, że Europa okupowana walczy o wolność, trzeba pojąć dokładny sens tego zdania, trzeba w czyn wprowadzić głęboką treść jaką zawiera dla setek milionów istot ludzkich słowo wolność. Trzeba było przeżyć egzekucje, zsyłki, wywłaszczenie, wynarodowienie, tępienie i poniżenie narodów Europy okupowanej, by zdać sobie sprawę z intensywności i głębi ich tęsknot do wolności, a także z zawziętości ich walki".

„BLOND-WŁOSY GERMANIE"

Zdarzyło się, że w Sylwestra 1939 r. zasiedliśmy przy bufecie „knajpy" w małym mieście pomorskim przy szklance grogu. Było nas trzech. Dwaj Polacy, blondyn o niebieskich oczach, drugi szczyczący się kasztanowatą czupryną, trzecim towarzyszem był miejscowy Volksdeutsch o pięknym polskim, z chłopska brzmiącym nazwisku. Piliśmy w smętnym nastroju. We wszystkich natomiast pokojach szalała gromada niemieckich żołnierzy. Przy akompaniamencie orkiestry bez końca śpiewano szlagier z pierwszej wojny światowej „Oooooooo mein Muff ist Weg". Z wnoszonych raz po raz okrzyków „Hoch Pommern" łatwo domyślеć się było można, że to z zachodniego, szczecińskiego Pomorza rekrutują się ci „tymczasowi".

Mówiliśmy o różnicach rasowych. Że my Słowianie a tamci niby Germanie. Rozmowa była gorąca. Ów Volksdeutsch był znajomym od najmłodszych lat i można było przy nim ryzykować. W pewnej chwili całe bawiące się żołnierstwo przedefilowało przed nami opuszczając restaurację. Dokonaliśmy przeglądu. Volksdeutsch liczył jasnych blondynów o niebieskich oczach, myśmy liczyli inną maść. Przeszło przed nami ponad pięćdziesięciu Niemców. W obrachunku nie mieliśmy żadnych trudności. W jednym tylko wypadku istniała niejasność. Jakiś podoficer był łysy jak kolano. Może był blondynem. Poza nim jednak w całej tej grupie nie było ani jednego blondyna. Wszyscy szatyni lub bruneci.

Volksdeutsch był zmieszany. Coś wybąkał, że to Szczeciniacy, zato w głębi Niemiec sami tylko żyją blondyni... Nawiasem mówiąc sam był szatynem.

Nie wykorzystaliśmy triumfu. Jak zwykle — w historii. Czuliśmy się niezręcznie jak gospodarz wobec gościa, który dopuścił się nietaktu. Jesteśmy zbyt kurtuazyjni.

Potem się okazało, żeśmy obaj myśleli o jednym. Kiedy i czy dziadkowie czy też dopiero rodzice tych dzielnych żołnierzy niemieckich przestali mówić po polsku?

— ooOOOoo —